

ALICJA ŁAZUKA

ur. 1925; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, II wojna światowa, rodzina, dzielnica Wieniawa, niemiecki obóz koncentracyjny na Majdanku, brat, tyfus plamisty

Pobyt brata w niemieckim obozie koncentracyjnym na Majdanku

Stach był na Majdanku pół roku, na wiosnę [go zabrali] – więcej jak pół roku – przyszedł w samą Wigilię. Ale tylko dzięki temu, że miał tę szkołę ogrodniczą i pracował u dyrektora Arbeitsamtu. Teraz jest Pekao na Krakowskim, tam właśnie był Arbeitsamt, tam było biuro pracy i stamtąd właśnie dostawało się skierowanie do Niemiec, tam właśnie pracę dawali, tam właśnie kierowali całymi robotami w Lublinie. To był duży gmach, bardzo duży urząd pracy był. No i ten dyrektor Arbeitsamtu świetnie mówił po polsku, bardzo dobrze, bo on przed wojną był w Polsce. Kim on był, to ja nie wiem, ale mówił po polsku wspaniale. Mieszkał na Czechowie, tam na Czechowie miał swój własny domek, miał bardzo duży ogród. W związku z tym Stach, ten mój brat, był w tym ogrodzie zatrudniony jako główny ogrodnik, bo tam byli i pracownicy, ale on jako wykwalifikowany ogrodnik. I jak mama się dowiedziała, że on jest na Majdanku, poszła po rozum do głowy, poszła do tego dyrektora i powiedziała, że Stach jest na Majdanku, że do pracy nie przyjdzie, bo został zabrany. On wiedział o tej czystce zresztą zrobionej na Wieniawie i mówi: „No, cóż ja tu pani pomogę, ja tutaj niewiele mogę. Ale niech pani napisze podanie do generalnego gubernatora Franka w Krakowie i niech pani z tym podaniem przyjdzie do mnie, to ja tutaj coś od siebie napiszę. Ponieważ to jest mój pracownik, to ja coś od siebie napiszę”. Taki dość Niemiec przychylny Polakom, tutaj trochę przecież był w Polsce. No i mama tak zrobiła, napisała podanie, poszła do niego. On napisał od siebie własnoręcznie do tego gubernatora Franka i to zostało wysłane do Krakowa. No, ale to zostało do Krakowa wysłane dość wcześnie, bo gdzieś w maju, w czerwcu. Myśmy już nie liczyli, że cokolwiek będzie.

Jest Boże Narodzenie, jest Wigilia, moja mama płacze, kluski gniecie do maku, więcej też jak wody w tych kluskach, bo płacze. Choinki nie ma, żałoba wielka, nie ma brata. Trzeba przyznać, że nasza rodzina była zżyta tak z sobą i mama te wszystkie dzieci ogromnie hołubiła i co mogła, to tym dzieciom tam pomagała i dawała. No i

smutno bardzo, godzina piąta i ktoś puka do drzwi. Mieszkaliśmy na Kawiej, bo nas Niemcy wyrzucili na Kawią, ponieważ ojciec pracował w fabryce maszyn rolniczych u Moritza – a to był Niemiec, przed wojną on był w Polsce, ale był Niemcem i miał tę fabrykę – miał zaświadczenie, miał legitymację, więc dali nam na Kawiej to mieszkanie. Na Kawiej mieszkanie było strasznie podłe, bo to było maleńkie, nie było czym ogrzewać, było bardzo słabe. No, ale innych to wywozili na wieś, no to co było robić na wsi z dziećmi. No, całe szczęście, że to na tej Kawiej było to mieszkanie. No i jak wrócił Stach, to już myśmy byli na tej Kawiej i wrócił na Kawią. Już nie na Króla Leszczyńskiego, tylko na Kawią wrócił. Wiedział, że my mieszkamy na Kawiej. Drzwi się otwierają, wchodzi mój brat ubrany identycznie, jak go zabrali. No, elegancko ubrany, bo on tak był ubrany zawsze. No, oczywiście radości co niemiara, z radości wszyscy się cieszą, płaczą, ojciec mówi do mnie: „Ala, chodź, pójdziemy po choinkę”. I poszedł ze mną po choinkę, ale to już było bardzo późno, było gdzieś koło dziesiątej wieczór. Już choinki leżały, już nikt nie sprzedawał, bo to już była Wigilia, no i myśmy tę choinkę [wzięli], jakiś chłop tam widocznie zostawił, te choinki były. Ojciec wiedział, gdzie ten plac jest, poszedł ze mną, wziął choinkę, przyniósł. No i wtedy ubieranie, no i uciecha, że brat jest, że wrócił.

Ale nie trwała uciecha dużo. Jednak każdy ma swojego chyba anioła stróża i swoją gwiazdkę. Ja tak myślę. On przespał noc i rano – już w domu, na wolności, parę godzin tylko był – mówi, że latają jakieś ptaszki po mieszkaniu. I mama nie wiedziała, o co chodzi. Doszła do niego, patrzy, a on jest rozpalony, mierzy temperaturę, a on ma ponad czterdzieści [stopni]. Woła pogotowie. Pogotowie stwierdza, że ma tyfus plamisty i zapalenie opon mózgowych, zabierają go do szpitala. To ile brakowało, żeby się znalazł w piecu? Niewiele, parę godzin. Zabrali go do szpitala Jana Bożego, w szpitalu mama narobiła tym siostronom awantury, bo nie kładły mu lodu na głowę, nie chciały kłaść. I tyleśmy się nacieszyli wolnością brata, a rodzice dzieckiem, bo brat leżał parę miesięcy, miał ciężki tyfus i zapalenie opon mózgowych. Stan był krytyczny. Był taki moment, kiedy mama strasznie płakała i mówiła, że Stach jest w stanie krytycznym i jest bardzo ciężko chory, bo i zapalenie opon mózgowych, i tyfus plamisty, a zapalenia opon [mózgowych] z wysokiej temperatury dostał. No, ale miał żyć, to przeżył. Po paru miesiącach przyszedł – no, oczywiście strasznie chudy, z Majdanka nie przyszedł taki chudy, jak przyszedł ze szpitala, bo nie mieli co dać jeść w szpitalu, straszny głód był. I tak za czasów okupacji co roku jedno chorowało na tyfus. Nie zakażaliśmy się od siebie, tylko żeśmy chorowali. Ja na tyfus plamisty chorowałam i chorował Józek na tyfus brzuszny. Był też bardzo ciężki, ja leżałam miesiąc, ten tyfus był dość groźny. No i wrócił z tego szpitala taki wychudzony, no to wtedy mama też nie miała czym go odkarmić, przecież to okupacja, nie było nic. Nawet chleba nie można było dostać.

Stach dużo opowiadał o Majdanku. Oni tam mieli życie takie obozowe, tam jedni drugim pomagali, zamieniali się, kupowali, handlowali. To wspominał. No, myśmy listy dostawali. Ja miałam jeden list, przechowałam i ktoś mi gwizdnął ten list, ktoś mi

ukradł z domu list, bo ja miałam jeden list. Jeden list przechowałam i to był dowód. Mama różaniec dała jemu i ten różaniec też on otrzymał od tego kolegi, bo dała do modlitwy ten różaniec.

Zwolniony został, ale my tak myślimy, że to na skutek tego listu, bo nikt nie wyszedł – czterdziestopięcioosobowa męska grupa była. Ile kobiet, to nie powiem, bo nie wiem. Więc on z tych czterdziestu pięciu [mężczyzn] wyszedł jeden. Ale co z tego, jak za parę godzin znalazł się w tak ciężkiej chorobie. Dzielili go tylko godziny od śmierci, od pieca, bo tam nikt się nie przejmował, że ktoś chory na tyfus, nikt nie dawał leków. Bardzo wiele przeżyć było takich naprawdę bardzo ciężkich, no, ale jakoś się przeżyło to wszystko. Myśmy wszyscy byli jakoś uodpornieni, jakoś żeśmy się trzymali, jakoś jedno drugiemu pomagało, z drugim mówiło, pomagało we wszystkim.

Data i miejsce nagrania	2015-02-24, Lublin
Rozmawiał/a	Jacek Jeremicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"